

K O M U N I K A T

Komisji Artystycznej

45. Międzywojewódzkiego Sejmiku Wiejskich Zespołów Teatralnych

Tarnogród, 31 stycznia – 2 lutego 2020

Komisja w składzie: Katarzyna Smyk, Bożena Suchocka, Tomasz Rokosz, Lech Śliwonik (Przewodniczący), Edward Wojtaszek obejrzała 11 widowisk, przywiezionych do Tarnogrodu przez wiejskie zespoły z województw: lubelskie (5), mazowieckie (1), podkarpackie (2), świętokrzyskie (3). Zgodnie z założeniami programowymi, Komisja przeprowadziła spotkania warsztatowe, dla których punktem wyjścia była wymiana opinii o spektaklach.

*

To już stało się tradycją międzywojewódzkiego sejmiku w Tarnogrodzie – obecność **Zespołu Obrzędowego** z Hańska (pow. włodawski, woj. lubelskie) i jego występ, otwierający kolejny przegląd. Ważne, że elementem tej tradycji jest także jakość występu – każde przedstawienie jest rzetelnie przygotowane, dobrze zagrane, barwne. W tym roku mieliśmy do czynienia z przypadkiem szczególnym w długich dziejach Zespołu: spektakl określić wypada znanym ze słownika teatralnego terminem „wznowienie”, bo *Worożychę* tarnogrodzka widownia oglądała już przed laty. Oczywiście, że po upływie pięciu lat nie mogło to być po prostu powtórzenie, zmiany zaszły w obsadzie, zmieniła się także przestrzeń grania. Odślonięcie kurtyny daje publiczności obraz scenograficznego bogactwa. Jesteśmy na podwórku pomiędzy chałupami, których zarysy starannie odtworzono: ściany, fragmenty dachu. Po lewej stronie płotek, po prawej ławki, na których usiądzie niebawem spora grupa sąsiadów, wszyscy w autentycznych kostiumach; wśród nich dwóch muzykantów.

Najpierw jest muzyka i taniec, potem zaczynają się rozmowy. Gospodyni martwi się, bo pora wydać córkę za mąż, ale w chałupie bieda - ojciec umarł przed pięcioma laty, a czy ktoś weźmie ubogą. I tu następuje wejście do właściwej akcji – kumy znajdują rozwiązanie: trzeba iść do Worożychy, ona nie tylko leczy, również potrafi przepowiadać przyszłość. Rozlegają się odgłosy grzmotów, budzą przestraszonych... I oto pojawia się tytułowa bohaterka. Jej miejsce jest po lewej stronie sceny, wyznacza je wspomniany płotek. Worożycha ma solidny garnek, ma też obfity zestaw ziół. Wkrótce przychodzą potrzebujące pomocy kobiety – matka i córka; na zapuchnięte, bolące oczy dziewczyna dostaje ziółka i instrukcję jak robić okłady. Podobnie bez trudu zielarka poradzi sobie z innym „pacjentem” – kobieta przyprowadziła syna, który zapewne ma uroki, bo okropnie rozbolał go

brzuch. Diagnoza Worożychy jest prosta – najadł się „pierziołków”, a kuracja wywarem daje skutek niemal natychmiastowy i dość głośny.

Do Agaty-Worożychy przyjdzie jeszcze jedna osoba. Tu jednak musi pojawić się ważne wyjaśnienie. Otóż konstrukcyjnym zabiegiem wyróżniającym zespół z Hańska jest wprowadzanie do każdego przedstawienia postaci Pituchowej. To bardzo dobry, oryginalny pomysł – bohaterki łączącej kolejne odcinki swoistej „sagi”, ale też wnoszącej swój odrębny, wyrazisty charakter. Jest jedną ze „wsiowych” kobiet, ale bardzo się różni od swoich sąsiadek: wścibska, plotkara, chytra, przewrotna, gotowa do kręctw. To wszakże, co sprawia, że nie jest lubiana przez społeczność, jest ożywcze dla dramaturgii. Wnosi niespodziankę, szczególny rys, zmienia atmosferę. Podobnie dzieje się i w tym widowisku. Pituchowa idzie do Worożychy po poradę, nie „medyczną”, ale życiową. Chce dowiedzieć się, czy do niej przyjdą swaty. Agata wypomina, że w młodości miała wielu zalotników, których swoimi grzechami odstraszyła. Wróży jednak z pary unoszącej się z garnka i przepowiada: przyjdzie swat od Oleszaka. Pituchowa ma własne „zasady” – dziękuje za wróżbę, ale zapłaci wtedy, kiedy się spełni. To będzie miało swój dalszy ciąg: twarz chytruski „ozdobia” kurzajki i dopiero po zapewnieniach o poprawie, Agata potrójnym zaklęciem pomaga skruszonej (pewnie na chwilę) „pacjentce”.

Liczna obsada, dwie bardzo dobre role, muzyka, kostium, kilka dobrych scenek – a jednak czegoś brakuje w tym spektaklu. Można najkrócej powiedzieć, że brakuje „oddechu”, że wszystko ciągnie się zbyt jednostajnie. I jeszcze drugie słowo, którego trzeba tu użyć – „stłoczenie”. Na akcję składają się dwa wątki, dwie rzeczywistości – gromady i zielarki-wrózki. Najciekawsze, intrygujące jest to, co dzieje się u Worożychy, czego trzeba się domyślać, dopowiadać z zasłyszanych wieści. Tymczasem tutaj wszystko jest „na kupie”, gromada siedzi na wyciągnięcie ręki od Worożychy, patrzy na jej działania jak na przedstawienie. Tak oto scenografia okazuje się nazbyt „bogata”, zajmuje wielką część przestrzeni, a konstrukcja scenariusza nie do końca domyślana. Warto dokonać kilku korekt.

Wydawałoby się, że wiarogodnie przedstawić na scenie las, a zwłaszcza jego podszycie jest rzeczą prawie niemożliwą. A jednak Zespołowi **SENIORZY** z Urszulina (pow. włodawski, woj. lubelskie) prawie udało się to uczynić w przedstawieniu *Na jagody*. Na widowni niemal można było poczuć zapach ziemi, roślin i drzew, a aktorzy z dobrym wyczuciem przestrzeni budowali sytuacje. Z dużym scenicznym wyczuciem przedstawiono schodzenie się na zbieranie jagód:

pracę zaczynają trzy kobiety, potem dołączą kolejno jeszcze dwie; obie trochę przypadkowo – jedną coś wystraszyło, druga wędrując przez las – ale szybko tworzy się klimat gromadzkiej bliskości. Jak zwykle, takie spotkania przy pracy stwarzają okazję do opowieści, plotek, wspólnego śpiewu. Dowiadujemy się, jakie obyczaje związane są z wyjściem do lasu po jagody, jak je przebierać na suszenie i na bieżące potrzeby domowe, możemy wysłuchać paru przepisów na przetwory z leśnych owoców, płyną opowieści o zaletach zdrowotnych. Jest też humorystyczna opowieść o „miastowych”, co kiedyś wybrali się na jagody i nic nie zebrali, ponieważ padli ofiarą roju komarów.

Spektakl ma więc wiele dobrych rozwiązań. A jednak znalazło się kilka elementów, które trzeba oceni inaczej i radzić głębsze przemyślenie. Przede wszystkim niedopracowany jest scenariusz: pojawiają się wątki niewykorzystane, które mogłyby udratyzować przedstawienie. Pierwszy przykład – znaleziona na samym początku przez gajowego, zapewne porzucona w popłochu zbieraczka (niszczy krzaki i nie wolno jej używać) jest prawie zapomniana przy ponownym pojawieniu się leśnika; drugi – informacja o zauważonej przez jedną z kobiet bombie jest tylko niezauważonym zdaniem. Oba te zdarzenia nie mają swoich konsekwencji. Są też pomysły raczej sztucznie doczepione do sytuacji – nagle jedna ze zbierających wyciąga butelkę i kubki i „wzmacniają siły”, pod koniec widowiska gajowy i dwie kobiety zaczynają płasanie w jagodowych kępach.

Bogaty poznawczo materiał dotyczący lasu i jagód, podawany jest w sposób monotony i jednorodny – są to dłuższe i krótsze monologi kobiet, a nie naturalne rozmowy, zabrakło bowiem zróżnicowania charakterów występujących postaci. Teatralnie ciekawsze byłoby takie wykonanie, w którym na pierwszym planie nie jest samo opowiadanie, ale praca, przy której kobiety sobie opowiadają. Podobnie z pieśniami – ładnie wykonanymi, ale bardziej jak występ, a nie jak przyśpiewka przy pracy. I jeszcze jeden błąd – nie ma zakończenia: w pewnym momencie wszyscy milkną i zamyka się kurtyna.

Piękne i pożyteczne – tak krótko można określić wrażenia ze spektaklu ***Kumie, zróbcie mi gromnice Zespołu Śpiewaczo-Obrzędowego „Jarzębina”*** z Bukowej (pow. biłgorajski, woj. lubelskie). Pożyteczne – za sprawą tematu i jego ujęcia. Jesteśmy w izbie pszczelarza, który zimą zajmuje się również wytwarzaniem gromnic z wosku zebranego w ulach. Widać je na pierwszym planie, wiszą, schną, czekają na odbiorców, którzy je sobie zawczasu zamówili. Nie wszyscy byli tak zapobiegliwi – ciotka w ostatniej chwili zorientowała się, że nie ma z czym iść do święcenia do kościoła, więc przybiegła błagać kuma o

ekspresowe zrobienie świętej świecy. To dobry pomysł dramaturgiczny, bo dzięki niemu możemy od A do Z zobaczyć wykonanie gromnicy. Od A, czyli od rozgrzania wosku, wałkowania go, cięcia wzdłuż, umieszczenia w środku knota uwiniętego właśnie przez babcię, następnie kształtowania za pomocą rąk i deseczek, chłodzenia zimną wodą i suszenia. Dowiadujemy się przy okazji, że nie każdy wosk się nadaje, jakie bibułowe kwiatki i jak wykonywano na ozdoby gromnic, jak je mocowano; jak leczono skutki przestachu, przelewając wosk. Ale też czemu i w jaki sposób gromnica służyła przez okrągły rok w chwilach grozy i uroczystości, towarzysząc człowiekowi od narodzin do śmierci, jak słyszymy w pięknych sentencjach płynących ze sceny, „żebyśmy w świetle żyli, w świetle ze świata schodzili”... Zamknięciu obrazu – czyli dojściu do Z – służy opowieść o tym, co należy zrobić z użyciem gromnicy po powrocie z kościoła, słyszymy też świetnie wykonaną archaiczną pieśń maryjną „Z tamtej strony zboża świeci jasna zorza, przechodzi się śliczna Panna z niebieskiego dwora”.

Spektakl został dobrze zakomponowany między innymi dzięki temu, że kolejne osoby wprowadzane są na scenę sukcesywnie, każda ze swoją sprawą i swoją osobowością, także ze swoim słowem, a warstwa słowna zasługuje na wyróżnienie, zwłaszcza narracja prowadzona przez pszczelarza, który wykonując prawdziwą pracę, mówi też prawdziwie. Ponadto wykonanie w czasie realnym na oczach widzów głównego rekwizytu – gromnicy ustawiło cały spektakl i to jest dobry trop, a dzięki zdyscyplinowaniu scenariusza wielka różnorodność treści i działań zbiega się zawsze wokół gromnicy. Widzimy świat idealny: sąsiadów, którzy się wspierają, wielopokoleniową rodzinę, dom zachęcający do zostania i posiedzenia dłużej. Widzimy ludzi szczerze oddanych kultowi, zachowujących szacunek do *sacrum* również poprzez szanowanie oświęconych przedmiotów czy rytuałów, jak trzykrotne powtarzanie odpowiednich czynności czy słów. I urzekające zakończenie: gromada ubrana w wierzchnie odzienie staje przed nami w ciemności z zapalonymi świecami na znak wyruszenia zimową nocą do kościoła. Teatralne, wzruszające, piękne.

Ocepiny Zespołu Obrzędowego z Gałek Rusinowskich (pow. radomski, woj. mazowieckie) zaczynają się od krótkiego dialogu Panny Młodej, która stoi w centrum sceny, z ulokowanym za nią chórem druhien. Najważniejsza część wesela, nie może więc zabraknąć pieśni. Zespół rozpoczyna od przyśpiewki *Przepraszamy wszystkich gości*. Ośpiewani zostają kolejno uczestnicy. Zespół przeprowadził niejedno wesele, muzykanci także bardzo sprawni, a jednak zdarzają się drobne „wpadki”, brakuje zestrojenia śpiewu do akompaniamentu.

Może przyczyną jest trema. Stopniowo następuje oswojenie aktorów ze sceną i widownią. Muzykanci także rozwijają wszystkie swoje możliwości. Płyną ładnie wykonane, przyśpiewywane mazurki. Słyszymy głośny, tradycyjny „biały” śpiew. Przewodniczka weselnego obrzędu ma głos zachrypnięty – w zasadzie to nie przeszkadza – zdradza doświadczenie i dziesiątki zaśpiewanych wesel. W warstwie muzycznej spektaklu przeważa metrum 3/8; dobrze motywuje ono ruch aktorów.

Pieśni i przyśpiewki są zdecydowanie najcenniejszym elementem spektaklu – współtworzą jego strukturę. Spajają śpiewaków z kapelą, komentują najważniejsze fazy oczepin, podpowiadają ich etapy. Na scenie wykonuje się to, o czym się śpiewa: widzimy więc przewracanie i stawianie krzesła, czesanie Panny Młodej, dostaje ona też dary – patelnię, kromkę chleba i „pieniądze z chusteczki”. Wreszcie chwyta za serce dłuższa, tkliwa pieśń „Zawołajcie mamy mojej, niechże ona przy mnie stoi”. Następuje znane z wielu inscenizacji wyjście artystów w stronę publiczności – częstowanie jej jadłem i alkoholem, a więc symboliczne włączenie w krąg obrzędu, gdzie nie ma już podziału na widzów i aktorów – wszyscy są jego uczestnikami. Od razu energia przedstawienia wzrasta. Równocześnie na scenie następuje finał – ekstatyczny taniec. Spektakl kończy się więc z przytupem. Generalnie *Ocepiny z Gałek Rusinowskich*, to rodzaj obrzędowej fotografii. To rekonstrukcja autentycznej tradycji, którą aktorzy jeszcze pamiętają. To duża zaleta przedstawienia. Wszystko jest tu zgodne z autentyczną charakterystyką etnograficzną i muzyczną regionu. A Opoczyńskie i Radomskie, to regiony szczególne, w których obrzęd i tradycja muzyczna dobrze się zachowały. Choć odeszli już najlepsi muzykanci, pozostała pamięć najstarszych ludzi i nagrania lub takie jak wyżej opisany spektakle. Obrzęd w przestrzeni teatralnej....

Zespół Teatralny „Bezpieczna Przystań“ z Dziennego Domu Pomocy w Sanoku (pow. sanocki, woj. podkarpackie) jest debiutantem sejmikowym - działa od roku 2018, ma na swoim koncie dopiero dwa przedstawienia. Pokazany w Tarnogrodzie *Smok w Nieswarowie* jest krótką, baśniową śpiewogrą, z wyraźnym przesłaniem społecznym i ze szczęśliwym zakończeniem!

Akcja rozgrywa się przy rynkowej pompie, która naturalnie jest także głównym elemencie scenograficznym. Zaczyna się od kłótni dwóch kobiet o pierwszeństwo nabrania wody. Sprzeczkę bezskutecznie próbuje zażegnać Sołtyska. Mieszkańcy Nieswarowa są ze sobą skłócen i nie ma sposobu, żeby temu zaradzić. Następne zdarzenia potwierdzają ten przykry fakt. Sołtyska

informuje widzów (w formie śpiewanej), że przez waśnie i kłótnie, awantury i bijatyki cała społeczność Nieswarowa bardzo cierpi.

W Nieswarowie pojawia się groźny gość – smok który ma „5 głów i 1000 kłów“. Smok domaga się od Sołtyski zakwaterowania w jaskini, w Czarnej Skale. Co więcej oznajmia, że na kolację codziennie będzie pożerał 4 krowy, albo 4 konie i kilka tuzinów drobiu. Przerazona Sołtyska zwołuje mieszkańców i próbuje skłonić ich do stawienia czoła smokowi, ale oni nie potrafią zgodzić się ze sobą nawet w obliczu zagrożenia. Wolą walczyć ze smokiem w pojedynkę, niż stanąć w obronie dobytku ramię w ramię z sąsiadem. Indywidualne wystąpienia przeciwko smokowi, oczywiście nie przynoszą rezultatów.

Przy pompie spotyka się para zaprzyjaźnionych dzieciaków. Dzieci rozpatrują warianty zgłodzenia smoka. Chłopiec stwierdza, że jedynym wyjściem jest ścięcie wszystkich pięciu głów na raz. Tylko jak tego dokonać? Przynosi kolorowe ołówki i tworzy obwieszczenie, że od tej pory smok będzie zjadał nie zwierzęta lecz ludzi. Na mieszkańców Nieswarowa pada strach. Tym razem Sołtysowej udaje się wymusić na sąsiadach przysięgę, że już nigdy nie będą się kłócić i wadzić. Mieszkańcy biorą siekiery i wspólnie wyruszają na wojnę ze smokiem. Smok ginie pod ciosami zgodnych sąsiadów i zostaje po nim tylko skóra. Na rynku pojawiają się na powrót kobiety z pierwszej sceny spektaklu. Tym razem panie są wobec siebie bardzo uprzejme i miłe. Nazwa miejscowości zmienia się z Nieswarowa na Cukierkowo.

Spektakl ma dużo uroku. Zdradza też duże poczucie humoru twórców spektaklu. Wspomnieć należy chociażby pomysł na niezwykle rekwizyty, jakimi są grubo ciosane, przeskalowane w wymiarach siekiery. Jest w tym przedstawieniu uroczy dystans wobec tematu i ludzkich przywar. Postaci są wyraziste i prowadzone z pełną konsekwencją. Aktorzy sprawdzają się w dialogu, próbują też swoich sił w śpiewaniu. Tu jednak pojawia się mały problem – nadążenie za linią melodyczną z off-u okazuje się karkołomnym zadaniem. W efekcie wyraziściej słyszymy osobę śpiewającą przez mikrofon zza kulis, niż aktora na scenie. Znacznie łatwiej byłoby ujawnić instrument i bez zbędnej skromności pomóc aktorom w wykonaniu utworów śpiewanych (pierwsza piosenka Sołtyski). Jeszcze o pomysle na zabicie smoka... Czy nie byłoby ciekawsze i bardziej dramatyczne, gdyby zginął on w walce? Warto też zalecić większą precyzją w łączeniu scen. „Dziury“ między kolejnymi wejściami działają na widza rozpraszająco i wpływają na znaczne obniżenie płynności przedstawienia Na koniec – warto rozważyć umiejscowienie pompy. Wydaje się,

że stoi trochę za blisko widowni, co stwarza poważne zakłócenia w eksponowaniu niektórych scen i tamuje ruch w partiach zbiorowych.

Rzadko mamy okazję widzieć na Sejmikowej scenie bardzo młodych ludzi w próbie widowiska obrzędowego (w tym pojęciu mieścimy też zwyczaje, prace domowe i polne). Częściej aktorzy takich teatrów stają przed koniecznością odtwarzania ról poza ich wiekiem: dojrzałe kobiety stają się pannami młodymi, nastolatkami, dziećmi. W omawianym przypadku mamy sytuację odwrotną – m ł o d z i grają s t a r y c h : Babkę, Dziadka, kobietę, która urodziła już 10-cioro dzieci. I całkiem zgrabnie im to wychodzi. Szybko rozpoznajemy proponowaną konwencję i akceptujemy bez zastrzeżeń. Twórcą tego przedsięwzięcia jest **Teatr "Świtez"** z Węglina (pow. kraśnicki, woj. lubelskie), tytuł spektaklu – *Darcie pierza*

Po wiejskiej izbie krząta się kilka osób: Marysia – zamiata, brat Marysi – Maciek przygotowuje gałązki na miotłę, a Jasiak najzwyczajniej w świecie grymasi. Babka wydaje domownikom polecenia i przydziela zadania. Nikt nie zwraca uwagi na utyskiwania zapracowanego Gospodarza, bo wszyscy mają teraz inne zajęcie – przygotowują się do przyjęcia gości. Dzisiaj jest wieczór darcia pierza. Przybywają cztery opatulone w chusty kobiety. Zasiadają rządkiem na ławie. Marysia przynosi sita, a chłopcy wnoszą worki z pierzem i zajmują miejsca na sąsiedniej ławie, przed którą piętrzy się wielka sterta gałązek na miotły. Takie spotkanie jest świetną okazją do wyjaśnienia niedoświadczonej w darciu pierza panience – Marysi, na czym polega ta praca.

Nieoczekiwanie do chaty przybywają nowi goście: grupa pięciu mężczyzn. Gromadnie pakują się do izby, wycierają zabłocone buty, zdejmują kapoty... Dołączają do chłopców, którzy wiążą miotły. Babka zachęca zebranych do wspólnego śpiewania i intonuje pieśń: *Z tamtej strony jeziora...* Dziewczęta wtórują jej ochoczo na głosy. Spotkanie urozmaicone jest opowieściami: o zazdrosnym chłopie, o nieczystym duchu, o nawiedzonym miejscu i znikającym psie. Panuje radosna, przyjazna atmosfera skrząca się pieśniami i śmiechem. Kiedy darcie pierza ma się ku końcowi, chłopcy zbierają z podłogi resztki gałązek, żeby zrobić miejsce na postawienie stołu. Dziewczyny wnoszą poczęstunek, a Gospodyni szklanki; Gospodarz rozlewa wódkę. Zaproszenie wszystkich kobiet na darcie pierza do sąsiadów kończy przedstawienie. Rozbrzmiewa pieśń finałowa.

Prawdopodobnie młodzi członkowie zespołu nigdy nie mieli okazji uczestniczyć w prawdziwym darciu pierza. Okazuje się jednak, że dla stworzenia

spektaklu doświadczenie nie jest konieczne. Powstał naturalny i zgrabnie zakomponowany obrazek. Aktorzy nie posługują się gwarą i dobrze, bo gorzej byłoby, gdyby próbowali ją nieudolnie naśladować. Zaangażowanie członków zespołu, ich temperamenty, poczucie humoru oraz wyraziste intencje rekompensują nam tę małą niedoskonałość. Podkreślić należy ciekawy dobór zadań scenicznych dla obu grup: męskiej i żeńskiej. Każdy z uczestników spotkania ma zaplanowaną czynność i zagwarantowany żywy udział w zdarzeniu. Trzeba też wspomnieć o wysokich walorach śpiewaczych, słychać, że zespół ma duże doświadczenie muzyczne i śpiew jest jego silną stroną.

Darcie pierza jest „babskim wieczorem.” Świtezianie” postanowili połączyć go z obecnością mężczyzn zajętych wiązaniem mioteł. I nie jest to zarzut. Na tym polega wyjątkowość propozycji teatralnej zespołu z Węglina: zespół myśli twórczo, a nie odtwórczo. Jest też kilka usterek. Pierwsza to osadzenia całego zdarzenia w czasie. Piec, lniany obrus, chusty, sita, kostiumy sugerują odległe czasy – przynajmniej okres dwudziestolecia międzywojennego. Przeczy temu repertuar muzyczny, pojawiają się w nim, bowiem pieśni powstałe w znacznie późniejszym okresie. Druga usterka to kompozycja poczęstunku. Przy stole panuje straszny tłok i chaos; ustawienie go bliżej widowni zdecydowanie usprawniłoby komunikację na scenie. Zasadniczym problemem jest jednak brak konsekwencji w prowadzeniu głównego wątku. Oczywiście, obserwujemy czynność darcia pierza; dowiadujemy się również jak to robić, ale chyba należałoby uwyraźnić, rozwinąć ten wątek – dodać chociażby informację co będzie przygotowane z tego pierza. Teraz wypada dość blado przy bogactwie innych – skądinąd interesujących – czynności.

Wierzbna (pow. jarosławski, woj. podkarpackie), to wieś z długimi niczym gościniec tradycjami folklorystycznymi. Nic więc dziwnego, że **Wesele z Zespołem Biesiadnym WIERZBIANIE** rozpoczynamy w drodze – tak jak przystoi temu obrzędowi. Na scenę wstępuje korowód weselny. Generalnie, to co widzimy, jest już pewną artystyczną dyskusją z obrzędem, rodem z lat 60. XX w. Inscenizacja „Wierzbian” uświadamia nam też, że żywe obrzędy podlegają ciągłym transformacjom. W spektaklu zachowane jednak zostały wszystkie najważniejsze elementy tradycyjnego wesela, na przykład błogosławieństwo, podczas którego akordeonista gra utwór „Serdeczna Matko”, a rodzice błogosławią młodych, czyniąc znak krzyża na ich czołach. O relacjach społecznych i damsko-męskich dowiadujemy się przede wszystkim z tekstów przyśpiewek. Są tam żarty, przekomarzanie się ze sobą uczestników wesela, ale i

radę (dawane najczęściej półzartem). Trzeba przyznać, że przedstawiona wersja wesela jest chyba chronologicznie najbliższa tarnogrodzkiej publiczności, o czym świadczą jej reakcje. Na teatralne „Sto lat” publiczność wstała i zaśpiewała z aktorami. Następnie, podochocona wyskandowała: „Gorzko, gorzko!” – te interakcje z publicznością wykraczają poza teatr klasyczny, ale odnajdujemy je często w przestrzeni teatru obrzędowego – organicznego, niczym nieskrępowanego.

Przyśpiewki przyjmowała publiczność salwami śmiechu. Było to jednak trochę granie na najprostszych emocjach: „Marysiu, Marysiu, aniołeczku drogi, wystawiałaś rączki, teraz będziesz nogi”. Warstwa tekstowa przyśpiewek dowodzi także późnego rodowodu przedstawionego wesela – licznych zapożyczeń z kultury popularnej: „On chłopak młody, zagra do woli, za dziewięć miesięcy czekaj banderoli”. Teksty były jednak prawidłowo odczytywane przez widownię. Z przymrużeniem oka traktowano, jak się zdaje, radę typu: „zgotuj mężowi poliwiki, nie pójdzie na dziwki”. A znana życiowa prawda pozostanie zawsze aktualna: „Jużeś się ożenił, jużeś się powiesił, na tej szubienicy, co chodzi w spódnicy.” Dobrze zaprezentowane wesele jest skazane na sukces. Z drobnych uwag – warto wyeliminować niepotrzebne gesty – rodem z zespołu pieśni i tańca. W przestrzeni teatralnej wyglądają nienaturalnie i widać je w sposób szczególnie wyrazisty. Pracować też trzeba nad czystością śpiewu, zwłaszcza gdy działa trema. Należy przemyśleć ukrywanie akordeonisty za kotarą – gra on wprawdzie „z pulpitu”, ale przy przedstawionej wersji wesela jego pokazanie z pewnością się obroni.

Po kilku latach nieobecności, wrócił na tarnogrodzką scenę **Zespół Ludowy JAWORZANKI** z Jaworza (pow. kielecki, woj. świętokrzyskie). To udany powrót, widowisko *Nase pranie pod lipą* oparto na dobrze pomyślanym scenariuszu, niemało satysfakcji daje widzom strona wykonawcza. Treść, a też niektóre rozwiązania scenograficzne określa tytułowe „pranie”. Musi być rzeka – tu „gra” ją sprytnie ułożona plastikowa wstęga okolona zaroślami. Muszą być praczki – jest ich aż 8. Muszą być stosowne rekwizyty – miski, kijanki, tara. Podziwianie zręczności praczek wystarcza jednak na kilka minut, trzeba zatem szukać innych sposobów zainteresowania widowni. Najbardziej oczywistym są rozmowy i wplatanie w nie pieśni. Z tym zespół radzi sobie dobrze, choć warto długi i jednotonny monolog „naczelnej” praczki przerobić w dialog. „Specjalnością” JAWORZANEK jest wprowadzenie do zdecydowanie kobiecego zgromadzenia kilku mężczyzn. Jeden z nich jest nawet stale obecny – usiadł sobie

z boku i pracowicie układa z gałązek miotłę; drugi jest kosiarzem, pojawia się parę razy na krótko. Dzięki nim rozmowy stają się miejscami rubaszne, pojawiają się „wyrazistsze” sformułowania. Pod koniec robi się aż tak swojsko i swobodnie, że nie bardzo można wychwycić o czym rozmawiają. A na finał jeszcze jeden autorski pomysł zespołu. Niedaleko od miejsca prania przechodził mąż jednej z praczek, wraz z kolegą harmonistą – usłyszeli głosy, postanowili zboczyć z drogi. I tak zrodziło się nieoczekiwane zakończenie – potańcówka nad rzeką, między zaroślami. A na dodatek do tańca zwanego „miotlarzem” bardzo przydała się mozolnie wykonywana przez cały czas miotła.

JAWORZANKI miały swego przeciwnika i z nim sobie nie poradziły. Tym przeciwnikiem – zbyt mała scena. Po prostu działania aktorów nie mieściły się w tej przestrzeni; 8 praczek pracowało dosłownie w ścisku, prawie zupełnie spychając pracowitego „miotlarza”. Organizatorzy wysłali do każdego zespołu plan sceny z wymiarami (bo sejmik odbywa się w miejscu „zastępczym”, ze względu na remont ośrodka kultury). Był czas na korekty, na przykład 2 – 3 praczki mogły zmienić role – mogły przyjść dla towarzystwa, mogły wracać od jakiejś roboty i zostać na dłuższą chwilę. O tym nie pomyślano. Szkoda, bo widowisko byłoby jeszcze lepsze.

Zespół ROZKAPRYSZENI z Piotrowic (pow. lubelski, woj. lubelskie) to grupa sympatycznych ludzi lubiących ze sobą przebywać i pracować. Takie sprawiają wrażenie zarówno na scenie, jak i poza nią. Wzięli na warsztat niełatwy materiał: *Igraszki z Diabłem*, tekst Jana Drdy. Zabawna to rzecz, pełna charakterystycznych postaci rodem z baśni i opowieści ludowych. Trudność w zagranju jej w całości (spektakl trwa 80 minut) polega na tym, że wymaga ona znakomitego aktorstwa, sprawnej reżyserii i zręcznego montażu. Przedstawienie ROZKAPRYSZONYCH pozostawia pod tym względem trochę niedosytu. Co prawda widać, że tworzenie spektaklu dało zespołowi dużo przyjemności i zabawy, ale należy pamiętać, że bawić powinna się przede wszystkim widownia. Być może należałoby pomyśleć o skrótach w tekście, które uczyniłyby materiał łatwiejszy do udźwignięcia przez aktorów. Przedstawienie jest na tyle wyraziste, że rozważyć można uproszczenie scenografii, co wpłynęłoby pozytywnie na płynność narracji i wyeliminowało niektóre przestoje wynikające z konieczności zmiany dekoracji. Fabuła, zatem i spektakl, bazuje przecież na umowności i im bardziej dynamiczne przejście z jednego miejsca akcji do drugiego, tym ciekawiej. Nie zawsze uzasadniony jest wybór piosenek i moment oraz sposób ich wprowadzania do akcji sztuki („Serduszko puka w rytmie cha, cha” – w

finale). Sprawia to wrażenie elementów sztucznie doklejonych do całości, czasami wręcz hamujących akcję. Tekst sztuki jest sprawnie skomponowany i raczej nie potrzebuje „obcych” ozdobników. Zwłaszcza, że wykonanie niektórych numerów muzycznych jest dalekie od doskonałości.

Mamy zatem do czynienia z przedstawieniem barwnym, ciekawie pomyślanym i chwilami dobrze zagranym. Pozostają w pamięci niektóre sceny i role, jak choćby Kasia czy Diabły; szacunek budzi konsekwentnie prowadzona rola głównej postaci czyli Marcina. Niestety, w paru innych przypadkach zaobserwować można nadużywanie środków ekspresji, tak jakby aktorzy nie wierzyli w swoje umiejętności działania na scenie, przekazywania tekstu. Prowadzi to chwilami do znużenia widza. Wyraźnie brakuje zwartości i utrzymania napięcia w przebiegu całości. Prawdopodobnie lekkie skróty, uproszczenie scenografii, wyrównanie używanych środków ekspresji aktorskiej i przemyślenie kwestii numerów muzycznych mogłoby doprowadzić do przygotowania znacznie lepszej wersji przedstawienia.

Zespół „Wzdolskie Kołowrotki” z Bodzentyna (pow. kielecki, woj. świętokrzyskie) zaprosił nas do teatralnej wizyty *U powroźnika*. Prawdziwa praca, której efekty możemy zobaczyć tu i teraz, zawsze robi wrażenie. Ma potęgę kreacji określonych elementów świata widzialnego. Tak było i w tym przypadku, przy czym praca spajała też inne elementy fabuły teatralnej. A mieliśmy okazję zobaczyć nie tylko rzadko oglądane na scenie czynności splatania powrozów, ale także usłyszeliśmy pieśni i zagadki, sensowne dialogi, ujrzeliśmy dobre kreacje postaci. W spektaklu zarysowany został przede wszystkim wątek kojarzenia par. W tym przypadku swatany był syn organisty. Tu konieczna jest uwaga, że warto zadbać, aby śpiew w męskim wydaniu wykonać czysto. Tym bardziej, że młoda panna odśpiewywała dużo lepiej, a śpiew przy pracy zabrzmiał także bardzo wiarygodnie. Usłyszeliśmy między innymi pieśni: „Szła dziewczyna koło młyna” oraz „Hej tam pod las zielenieńki”.

Warto przemyśleć użycie wierszowanej formy opowieści (chyba zbyt długi wiersz o podróży do Częstochowy), która na tle innych gatunków folkloru zabrzmiała nieco sztucznie. Pochwalić należy wykorzystanie zagadek – jednego z najbardziej archaicznych gatunków folkloru. Zarazem trzeba zachęcić do poszukiwania bardziej różnorodnego ich repertuaru, tutaj zaprezentowano jedynie dobrane „pod publikę” zagadki o sprośnej tematyce. Dowiedzieliśmy się więc, co to jest „babskie rzemiosło, co naokoło obrosło”, lub co „ma wysoki korzeń, a na górze jajca”. Nota bene właściwe odpowiedzi są zupełnie inne niż pierwsze

skojarzenia, i to właśnie wywoływało salwy śmiechu na widowni. Generalnie w przedstawieniu dominował humor – zarówno sytuacyjny, językowy, jak i wynikający z kreacji określonych postaci (babcia pociągająca skrycie alkohol z flaszeczki). Dopelnianie się tych dwóch elementów – autentycznej pracy oraz dowcipu sprawiło, że spektakl oglądało się bardzo dobrze. Można życzyć zespołowi więcej takich scenariuszy.

Trudne zadanie wziął na siebie **Zespół Pieśni i Tańca „Morawica”** z Morawicy (pow. kielecki, woj. świętokrzyskie), umieszczając akcję swojego widowiska w obejściu wielopokoleniowej rodziny garncarzy. Wiązało się to z „postawieniem” na scenie pieca garncarskiego, z czym poradzono sobie za pomocą zastawek z wielką grafiką ukazującą naturalnej wielkości piec, z paleniskami i płomieniem. Tylko tak można było pokazać, *Jak to w Chałupkach gorki wpolano*. Poczyńmy od razu zastrzeżenie, że nie „tylko” wypał widzieliśmy, ale tak naprawdę skrótową, zwartą i barwną opowieść o wielu aspektach życia mieszkańców międzywojennych Chałupek – wsi o sięgających XV wieku tradycjach garncarskich. Senior rodu toczy naczynia na kole, gospodarz-ojciec Władysław zarządza pracą żony szykującej szkliwo oraz syna – Pietrka, który chyba skazany jest na garncarski los. Wynika z rozmów, zwłaszcza między ojcem a Żydem, Rudym Joskiem z miejscowej karczmy, że to ciągle opłacalny interes, wszak ludziom szybko garnki się tłuką i muszą kupować nowe. Ale też chodzą słuchy, że glina w okolicy jest na wyczerpaniu. Przebija się więc delikatnie refleksja ojca, że może jednak syn będzie mógł żyć z lepszej pracy, może ze stróżowania w mieście. Poza aspektem utylitarnym, na uwagę zasługują wątki folkloru przywołane przez zespół, a są to powiedzonka, nazwy, anegdoty, ale też legenda o Panu Jezusie objaśniająca, czemu garnki się tłuką, czy przyśpiewki i pieśni z motywami garncarzy i garnków. Sąsiedzi przychodzą przy ogniu upiec jabłka, ziemniaki i koguta, co jest okazją do częstowania się jedzeniem i domowym alkoholem. Z widowni idzie kapela i rozbawiona gromada, która opuściła karczmę, by pośpiewać potańczyć trochę na świeżym powietrzu i podzielić się informacjami, co tam słyhać na wsi, a po dołączeniu Marcinowej idącej z jarmarku – co słyhać poza wsią. Na koniec sprawne wyprowadzenie całego zespołu ze sceny: wszyscy, dokazując, idą do karczmy, prócz gospodarza, którego żona skutecznie zagoni go do domu, i prócz Pietrka, który może wreszcie pobiec do swojej ukochanej Hanusi.

Warto przekazać Zespołowi kilka rad i najpierw zachęcić do ograniczenia krzyku podczas wygłaszania kwestii czy snucia opowieści, gdyż nie dość że jest on

nienaturalny, to również utrudnia zrozumienie słów. Aktorzy muszą popracować także na tym, by nie gestykulować nadmiernie i nie podkreślać każdego słowa machaniem rękami. Odnosi się wrażenie, że koło garncarskie i toczenie naczyń przez dziadka zostało za słabo zaznaczone w scenariuszu. Niepotrzebnie były też wystawione na proscenium rekwizyty (jakieś donice, zielska), zupełnie zasłaniające to, co najważniejsze – piec, aktorów i ich działania.

*

W lekko jubileuszowym klimacie odbywało się tegoroczne międzywojewódzkie spotkanie wiejskich teatrów – i na początku, i na zakończenie przypomniano, że na rejonowy przegląd do Tarnogrodu zespoły zjechały po raz 45., a przede wszystkim o tym, że 50 lat temu odbył się w Stoczku Łukowskim pierwszy SEJMIK, który dał początki całemu „sejmikowemu” ruchowi w Polsce. Określenie „lekko jubileuszowy” użyte zostało dlatego, że pamięci dochowano, ale świętowanie postanowiono przenieść na jesień, kiedy to Sejmikiem Teatrów Wsi Polskiej otwarty zostanie, po wielkim remoncie, Tarnogrodzki Ośrodek Kultury. Tak oto zaczęło się oczekiwanie na wydarzenie.

45. sejmik kończyliśmy w dobrym nastroju, był obiecującym otwarciem kolejnego roku sejmikowego. W każdym z prezentowanych przedstawień Komisja znalazła artystyczne i poznawcze wartości, połowa widowisk zasługuje na znak dobrej jakości. Optymizm budzi pojawienie się kilku teatrów debiutujących, a przecież nieźle dających sobie radę w scenicznych realizacjach. Godzi się też odnotować „profilową” konsekwencję – i tym razem zdecydowanie dominował nurt obrzędowy.

Sejmik realizowany był w „zastępczych” przestrzeniach Szkoły Podstawowej, ale dzięki życzliwości Dyrekcji i mocnemu wsparciu ze strony władz Tarnogrodu, przebiegł bardzo sprawnie, w serdecznej atmosferze.

Tarnogród, 2 lutego 2020 r.

Komisja Artystyczna